

Kolejne opowiadanie z tomu "Powyżej gniazda".

Nazwiska i imiona występujących osób zostały wymyślone.

Pogoda nas nie rozpieszczała. Zamglony ranek przypominał początek kapryśnego kwietnia. Poubierani w ciepłe rzeczy, ruszyliśmy na podbój Alhambry. Kolejka turystów czekających na otwarcie kas osiągnęła już spore wymiary. Ci, którzy chcieli zrobić zdjęcia wiedzieli, że tylko o tej porze miało sens rozpoczęcie zwiedzania.

Po wejściu do środka postanawiam szybko przemierzyć z aparatem niezatłoczony kompleks pałaców. Na Dziedzińcu Lwów stwierdziłem bezsens swojego zachowania. Wyglądałem jak człowiek, który pragnąc pospiesznie zjeść lody podgrzewał je w tym celu na patelni. Zawstydzony, usiadłem przy fontannie. Nie mogłem przeciwstawiać się uspokajającemu, zmuszającemu do wypoczynku, działaniu architektury. Jest to jedyny na świecie tak wspaniały przykład lekkości arabskiego kunsztu.

W zadumie czekałem na Alinę. Bez uprzedzenia wyszło słońce. Gwałtownie zaatakował upał.

Na Daniela nie działały łagodząco fontanny i baseny. Wprost przeciwnie; nieustannie biegał i wszędzie, gdzie mógł, chlapał się w wodzie. Każdy napotkany schodek musiał rączkami poklepać i dwa razy pokonać. Alina miała dosyć pilnowania łobuza, rozrabiającego między nogami rzeszy turystów. W wózku nie chciał siedzieć, za rękę też nie pozwalał się prowadzić. Pałacowa atmosfera wyraźnie prowokowała go do samodzielności. Mozaikowa płyta patia, dawnej posiadłości Karola V, zamieniona została na swoistą bieżnię. Wyczerpany po tych wyczynach, nie pozwalał ściągnąć z siebie przeпоconych rzeczy. Gdy jednak, przy mojej pomocy, udało się Alinie przezwyciężyć jego temperament i podać butelkę, nasz sportowiec gwałtownie zasnął, pozostawiając niedopity łyk herbatki. Nareszcie mogliśmy bez stresu kontynuować zwiedzanie.

Po pewnym czasie poculiśmy nasycenie. Dzięki niemu spacer po słynnych ogrodach został odłożony na "nieokreślony, następny raz".

Po posiłku, zamiast sjeśty wybrałem marsz w kierunku morza. Słoneczna pogoda prowokowała do wyłożenia się na piasku plaży. Pomimo tego pojechałem do Malagi, choć nie była to najprostsza droga na wybrzeże. Miasto kojarzyłem z konkretnymi sprawami. Po pierwsze ze słodkim, ciężkim winem, którego nadmiaru raz zaznałem z wiadomym końcowym skutkiem oraz z bajką z okresu młodości, kiedy to z linijką biegałem do łazienki: "Ma-laga świadczy o mnie".

Po upalnym popołudniu spędzonym w aucie, przeważało marzenie o kąpieli. Spiesząc się ominąłem obwodnicą Malagę i po trzydziestu kilometrach dotarłem do Fuengirolí. Już na sam widok łagodnie pomarszczonej morskiej tafli pierzchno zmęczenie. Pobiegłem sprawdzić temperaturę wody. W bezruchu i zachwycie stałem na brzegu pozwalając ziarenkom piasku umykać spod moich gołych stóp. Za każdym uderzeniem łagodnych fal grzęzłem coraz głębiej.

Daniel w buciczkach podążył moim śladem. Schyliłem się, aby wziąć go na ręce. I nagle zamarłem w bezruchu. Szalony ból zamroził ciało. Nie wiedziałem, co się stało. Jakiś potężny sztylet ranił kręgosłup, rozrywał kręgi. Ogarnęło mnie przerażenie. Nie miałem siły wołać o pomoc. Każda próba ruchu paraliżowała wolę. Nie wytrzymałem napięcia. Z zamarłym oddechem osunąłem się na kolana, podparłem rękoma.

Płacz Daniela zaalarmował Alinę. Mijały długie sekundy. Ciągle nie potrafiłem nabrać powietrza. Alina w panice zaczęła mną potrząsać. Czując jej bliskość puścił uścisk zaciśniętej krtani. Bezwładnie, z przeciągłym jękiem, w zeszywniałej pozycji, opadłem na bok.

Na opustoszałej plaży, w zasięgu wzroku, nie było nikogo - nikogo, kto mógłby udzielić wsparcia. Jedynie po drugiej stronie drogi znajdował się hotel.

Pomału zaczynałem rozumieć źródło bólu i związany z nim zakres ruchów. Alina postanowiła pomóc mi dojść do samochodu.

Maksymalną siłą mięśni podciągnąłem się na jej szyi. Minęła panika. Potworny ból nie ustępował, ale też nie pociągał za sobą innych konsekwencji. Całym ciężarem zawisłszy na podtrzymującej mnie żonie, oparty drugą ręką o głowę dwudziestomiesięcznego syna, złożony w scyzoryk, wlokłem się w stronę auta. Po dotarciu do celu musiałem długo czekać zanim Alina rozłoży posłanie. Nie wiedziała jak to się robi; tę, dość skomplikowaną czynność, zawsze sam wykonywałem.

Po wczółganiu się do środka i znalezieniu najmniej bolesnej pozycji, przyszedł czas na refleksję. W dalszym ciągu nie miałem pojęcia, co mnie spotkało. W aucie poczułem się bezpieczny, ale co dalej? Dalsza jazda, w takim stanie, nie wchodziła w rachubę. Od domu dzieliło nas dobre dwa tysiące kilometrów. Co zrobimy?

Zrozpaczona Alina poszła szukać lekarskiej pomocy. Miała szczęście, bo choć hotelu jeszcze nie otworzono, dowiedziała się od obsługi, gdzie i w jakich godzinach otwarta jest przychodnia.

Koszmarna noc w bezruchu trwała w nieskończoność. Rano, częściowo znieczulony pabialginą, nie wiedziałem, jak się podnieść. Na szczęście Alina znalazła grubą linkę. Zamontowała ją pod dachem, dzięki czemu mogłem się podciągnąć.

Całą wieczność trwało nim usiadłem za kierownicą. Wyciśnięcie sprzęgła graniczyło z bohaterstwem. Ruszyłem. Wolno, krok po kroku, z załączonymi migaczami i wykrzywioną w nieprzyjemnym grymasie twarzą, dowlokłem się do przychodni. Przed recepcją zastałem tłum, na korytarzu kolejkę chorych, czyli sytuację, wypisz wymaluj, jak w polskiej placówce zdrowia.

Do gabinetu wszedłem po dwóch godzinach. Lekarz bez specjalnych badań zorientował się, co jest grane. Zaaplikował zastrzyk, który należało powtarzać przez tydzień i receptę. Zalecił cały czas leżeć w łóżku i zapomnieć o morskiej kąpeli przez okres nadchodzących tygodni, a może miesięcy.

Nareszcie zrozumiałem, co oznacza zapalenie korzonków nerwowych.

Stosunkowo miły "señor doctor" polecił nawet, poznawszy sytuację, dziki camping przy "viejo castillo", gdzie bez przeszkód i tanio mogę się kurować. Dodatkowo dostałem zwolnienie lekarskie, które niezwłocznie wysłałem do Bellindy.

Po zastrzyku nastąpiła zasadnicza ulga. Co prawda ból przy każdym stawianym kroku posiadał moc rażenia, ale już nie paraliżował.

Zaproponowane przez lekarza miejsce koło ruin zamku, znalazłem bez problemu. Nieźle się jednak namęczyłem z odszukaniem dróżki biegnącej wokół góry i jej pokonaniem.

Olbrzymi plac, oddzielony od morza jedynie plażą, świeci pustkami. Ustawiam się między samotnikiem z psem w VW furgonetce, a campingbusem Anglików. Alina rozkłada na rozgrzanej ziemi płótno żeglarskie. Przy jej pomocy kładę się na nim.

*wolno do otoczenia dostrajam organizm
lekki wiatr roznosi zapach południowych ziół
drga powietrze w oddali miękkimi warstwami
promienie słońca znieczulają dotkliwy ból*

Zdziwiony leżę w bezruchu, a z tyłu pozostał naglący czas, bieg, ustawiczny pośpiech.

Przez długie lata marzyłem, aby zobaczyć, przeżyć, na filmie utrwalić. I nagle ogarnia mnie spokój. Z tych wszystkich pragnień muszę raptownie zrezygnować. Wiem, że nie zobaczę w Madrycie Prado, nie wejść do Mezquity w Kordobie. Nie mogę już pędzić jak baran w stadzie. Czuję tylko przemożną radość

i satysfakcję z prostego faktu istnienia.

*uschły kwiat ostu z uporem osa szturmuje
na ziemi mrówka z wysiłkiem targa trawy żdźbło
chmurka na horyzoncie tak z morzem figluje
jak nagi Daniel radośnie szczebiocący w głos*

Na Aliny głowie spoczęło całe gospodarstwo. Musiała dbać od tej pory o dwoje dzieci, prac, gotować. Jako pielęgniarzka, niosła ulgę spryskując moje plecy preparatem w aerozolu. Najwięcej trudu sprawiało jej noszenie wody. Radziła sobie jednak dzielnie. Gdy spostrzegła, że zaczynałem się poruszać, promieniowała szczęściem.

Po trzecim dniu, wracając z przychodni, wyciąłem parę bambusów rosnących przy rowie. Zrobiony z nich wysoki maszt umocowałem linkami do ziemi. Zamiast flagi zawisły na nim części wypranej bielizny i ręczniki.

Bezpłatną atrakcję stanowili sąsiedzi - dwie pary Anglików. Ich campingbus, z wysoko podniesionym dachem, spełniał podwójną funkcję; domu i namiotu cyrkowego. Co robili w środku, mogłem się tylko domyślać. W ciągu dnia ćwiczyli na zewnątrz. Ci młodzi ludzie, z dużym zresztą wdziękiem, godzinami doskonalili swój kunszt. Spektakl niestety kończył się wieczorem, kiedy wyruszali do miasta na nocne występy.

Pod koniec zastrzykowej kuracji moja forma uległa wyraźnej poprawie. Podpierałem się co prawda kijem, ale najważniejsze, że w ogóle mogłem chodzić. O dalszej jeździe nie mogłem jeszcze myśleć, jednakże zacząłem znowu planować i uaktualniać trasę. Okres spokoju, wywołany chorobą, mocno wrysował się w moją świadomość. Zrozumiałem, że niekoniecznie trzeba bez przerwy "Pędzić i brać, aby szczęśliwym być".

Ruszyliśmy znowu w drogę. Za Gibraltarem, na ulicach Algeciras, podbiegł do nas facet o smagłej cerze. Kalecząc niemiecki, proponował kupno biletów do Ceuty. Oferta kusila przystępną ceną. Prawdopodobnie, gdyby nie żeglarskie płótno na którym spędziłem wiele godzin, zgodziłbym się natychmiast. Samo płynięcie promem mało nas pociągało. Z kolei postawienie jedynie nogi na afrykańskim kontynencie, atrakcyjne w formie i mogące sprawić satysfakcję, samo w sobie nie wystarczyło. Natomiast na zwiedzanie Maroka, nie mieliśmy ani czasu ani wiz, a kupowanie jakichś pamiątek na arabskim bazarze wydało się nam bezsensowne. Pojechaliśmy dalej nad ocean.

W Kadyksie, z okazji moich urodzin, postanowiłem pójść na obiad do jakiejś nadmorskiej knajpki. Ze znalezieniem wolnych miejsc nie mieliśmy problemu. Szereg restauracji zachęcało do wstąpienia ocienionymi stołami, usytuowanymi na nabrzeżu.

W oddali falowało morze. Cienka tkanina zatrzymująca prażące promienie słońca, łopotąła nad naszymi głowami.

Do zamówionych rybnych dań kelner proponował białe wino. Zawartość oszronionej butelki wydała się w pierwszej chwili przerastać nasze możliwości. Parę toastów za moje zdrowie niespodziewanie zmieniło skalę odczucia. Wino, idealnie dobrane do posiłku, gasząc pragnienie, wytwarzało błogi stan. Wiatr owiewał rozgrzane policzki. Intensywniał boski nastrój otoczenia.

Po wyjściu spod zadaszenia dorwał nas upał ulicy. Popychany przez Alinę wózek ze śpiącym Danielem, toczył się po płytkach chodnika dziwnie nierównym torem. Chciałem pomóc w prowadzeniu, ale nie

mogłem dosięgnąć rączki.

-Ty się zalałeś!... Ty się zalałeś!... Ale numer!... - chichotała Alina.

Radosny pług doprowadził nas do auta. Po otwarciu drzwi buchnęło jak z piekarnika gorące powietrze. Nadal nie opuszczał nas świąteczny nastrój. Usiedliśmy na krawężniku. Wiedziałem, że musi upłynąć parę dobrych godzin, zanim siądę za kierownicą. Mijał czas, nadchodziło łupanie głowy. W rezultacie zdołałem tylko wyjechać z centrum i dotrzeć do plaży. Nocne działanie atlantyckiego podmuchu zrobiło swoje.

Z Kadyksu do Sewilli dojechałem bardzo szybko. Witano nas jeszcze uśpione miasto. Szybkie schnięcie ulic, zroszonych podczas rannej toalety, zapowiadało niesamowity upał. W alei przy Placu Hiszpańskim znalazłem ocienione miejsce. Idealnie nadawało się na całodzienny postój. Objuczeni zapasami jedzenia i picia, przejęci możliwością kroczenia śladami Don Juana i Carmen, ruszyliśmy do centrum.

Przechodząc koło uniwersytetu poczułem woń unoszącą się z nad wózka. Nie musiałem zaglądać do pieluszki; rozchodzący się "aromat" świadczył jednoznacznie o spotykającym nas szczęściu. Ruchliwy chodnik wykluczał "apetyczne" czynności związane z przewijaniem. Z kolei spokojne patio, widoczne za bramą uczelni, nadawało się idealnie do tych celów. I w taki oto wymowny sposób, udokumentowana serią zdjęć, na kamiennej ławce czcigodnego uniwersytetu została odnotowana obecność Daniela.

Innego rodzaju przeżycia dostarczyła katedra.

Gotycka budowla, pretendująca wielkością do czołówki światowej, zachwyca niespotykanym bogactwem. I nie chodzi tu o bogactwo duchowe. W tym wypadku Kościół dobitnie prezentuje swoją doczesną potęgę. Dech zapierają obrazy największych mistrzów hiszpańskich. Kunszt płaskorzeźb zdobiących pomniki nagrobkowe wzbudza uznanie. O zawrót głowy przyprawia szeroka kolekcja złotych naczyń. Szczyt podziwu wywołuje półtonowa, srebrna monstrancja.

Wiem, że te dobra zgromadzono dzięki szesnastowiecznym wyprawom za ocean. Dlatego dostrzegam w ich blasku ostry odcień czerwieni.

Wieczorem oczekiwała nas jeszcze jedna atrakcja. Wokół Hiszpańskiego Placu zamknięto ruch kołowy. Donośna muzyka płynąca z dziesiątków głośników wywoływała świąteczny nastrój. Podniosły głos podtrzymywał patetyczną atmosferę. Wylizany brunet wpiął w nasze piersi okrągłe plakietki, dziewczyna w białej bluzce podarowała czerwono żółte proporczyki.

Znaleźliśmy się w centrum przedwyborczej manifestacji. Auto otaczał podekscytowany tłum.

W czasie kolacji towarzyszyły nam występy artystyczne. Do późna trwała zabawa zakończona imponującym pokazem sztucznych ogni.

Myślałem, że towarzystwo rozejdzie się i pozwoli nam spędzić resztę nocy w spokoju. Daniel, obudzony wystrzałami, z trudem zasypiał. Kusiło rozłożone posłanie. Zmęczenie polityczną imprezą nie pozwalało na natychmiastowe zamknięcie oczu.

Pierwszy sen przerwało nieprzyjemne łomotanie. Rozbawionej grupie, podekscytowanej nie tylko wyborczymi hasłami, podobała się prawdopodobnie rejestracja naszego auta. Intensywniała częstotliwość uderzeń. Fiatem zaczęło kołysać. W piżamie wskoczyłem do szoferki.

Mieliśmy zamiar zostać jeszcze jeden dzień w Sewilli, ale jeżeli los tak chciał...

Alina drzemała - nie miałem ochoty wyciągać mapy. Jechałem na wyczucie.

Dookoła panował spokój. Otrzeźwiał chłód nocy. Zastanawiałem się nad imprezą i kosztami, które musiano ponieść przy jej organizowaniu. Ile pieniędzy wydawano, jaką masę energii zaangażowano, aby nakłaniać rzesze do wiary w głoszone idee? Zadziwiające, jak przy tej okazji bagatelizowano inne ludzkie potrzeby.

O świcie dojechałem do Rondy. Przed wejściem do parku zjedliśmy bardzo wczesne śniadanie.

Przypadkowo znalazłem się w przepięknym mieście. Wiedziałem jednak, dzięki informacjom zawartym w przewodniku, że powinno się je odwiedzić.

Na potężnej płycie skalnej, przeciętej w środku głębokim kanionem dochodzącym do stu pięćdziesięciu metrów, wybudowano gród. Trzy mosty, przy których zatrzymuje się tłum turystów, łączą dwie jego części. W tych miejscach znalezienie wolnego parkingu graniczy z cudem. Dłgie minuty krążyłem, zanim coś znalazłem. Fenomen przyrody, wart jednak zachodu. Nie on, mimo wszystko, wywarł na mnie największe wrażenie, lecz zwyczajna zupa...

Zwyczajna w smaku, ale nie w formie.

Stolik, przy którym usiedliśmy, znajdował się po jednej stronie drogi, restauracja po drugiej. Zapragnąłem zjeść coś typowo andaluzyjskiego. Kelner zaproponował zupę rybną. Na zamówienie czekałem krótko.

Sam widok "camarero", wytwornie parującego przez jezdnię z talerzem w rękach, należał do niecodziennych. A cóż dopiero, jeżeli usłyszałem dźwięk tego, co niósł.

Zupa, tak jak powiedziałem, jadłem lepsze, ale atrakcją było to, co w niej pływało - dokładniej mówiąc: to, co w niej zatopiono. W pierwszej chwili pomyślałem, że to żart. Jednak nie; przy sąsiednim stoliku konsumowano podobne danie.

Przy poruszaniu łyżką powstawał dźwięk podobny do stuku obijających się kamyczków. Podniosłem do ust to coś. Malutkie muszelki połyskiwały bielą, muszelki takie, jakich tysiące wyrzuca morze na brzeg. Powąchałem, skosztowałem... całkowicie neutralne. Alina rechotała.

Znowu chciano manewrować moją wyobraźnię, choć tym razem dla bardzo przyziemnych celów.

Z Rondy na wybrzeże, dokładnie mówiąc do San Pedro de Alcantara, prowadzi jedna z najpiękniejszych tras. Górską drogą, pokonującą pasmo Sierra Palmitera, dostarcza niezapomnianych wrażeń. Wspina się po stromym zboczu, omija wąwozy, przekracza kaniony. Każdy jej odcinek prowokuje do fotografowania. Miejscami jest nawet niebezpieczna - trwają prace przy jej modernizacji. Potężne maszyny, z mozołem naruszające skalną substancję, widziane w perspektywie monumentalnej ściany masywu, zostają zredukowane do wielkości mrówek.

Na pewno, dzięki nim, pojawi się na tej trasie więcej aut i podniesiony zostanie komfort jazdy. Niemniej widok brutalnej interwencji człowieka nie napawał optymizmem.

W drodze powrotnej postanowiłem znowu wstąpić do Malagi.

Rodzinne miasto Pablo Picassa kojarzyć się nam będzie w pierwszej kolejności nie ze wspaniałą katedrą z XVI wieku czy z wąziutkimi uliczkami dzielnicy handlowej, ale z dorożką.

Parę godzin przeznaczonych na zwiedzanie kolidowało z chęcią zobaczenia wszystkiego. Po wyjściu z katedry zaczęli nas dorożkarz. Oferował godzinną przejażdżkę ulicami miasta, z pokazaniem najbardziej atrakcyjnych miejsc. Propozycja nas zainteresowała, ale nie cena. Nie mogliśmy pozwolić sobie na wydanie pięciu tysięcy pesetas. W czasie, kiedy dorożkarz z uporem namawiał i opisywał atrakcyjność proponowanej trasy, kalkulowałem, ile możemy zapłacić za tę przyjemność.

Z pewnym zażenowaniem, ale stanowczo, oświadczyłem, że mogę dać dwa tysiące pesetas. Dorożkarz poczuł się obrażony. Ruszyliśmy przed siebie. Pewna nadzieja jednak istniała; widziałem długi sznur pojazdów czekających na turystów. Po paru sekundach usłyszeliśmy wołanie.

Dlaczego ta, tak drobna sprawa, pozostawiła ślad w mojej świadomości?

Oczywistym truizmem jest stwierdzenie, że każda przyjemność kosztuje. Pytanie tylko, ile. Zdanie sobie sprawy z adekwatności mającego nastąpić przeżycia do kosztów, jakie za sobą pociągnie, powinno mieć decydujące znaczenie.

Smak kawy z mlekiem, pitej w przydrożnej knajpcie przypominającej westernowy saloon, związany został z kolejną urlopową przygodą. W głębi kraju, przy temperaturze dochodzącej do 40°, rozkosz płynąca z delektowania się tym napojem stanowiła jednorazowe przeżycie. Nigdy w warunkach domowych nie udało się nam, pomimo licznych prób, uzyskać takiego smaku.

Niezależnie od wielu dramatycznych przeżyć, wakacje należały do najwspanialszych. Opalone twarze promieniowały szczęściem. Daniel idealnie znosił podróż. W ogóle, świat uśmiechał się do nas całą gębą. Przed Lorką usłyszeliśmy dziwny odgłos dochodzący z tyłu samochodu. Jakiś rodzaj szurania połączonego z piszczaniem. Głównie na zakrętach nasilał się niepokojący dźwięk. Początkowo myślałem, że poluzowaniu uległy jakieś rzeczy w skrzyniach. Alina zaczęła wszystko sprawdzać. W końcu zlokalizowała hałas - po lewej stronie, coś tarło o zakole. Zatrzymałem auto. Poczułem nieprzyjemny zapach spalonej gumy. Przyczyny jednak nie potrafiłem zlokalizować. Temperatura opony pozostawała w normie.

Bezsensem było rozpoczynanie demontażu w bezludnym miejscu. Dojechałem do Alikante.

Dziesiątki wysokich palm ocieniały malutki plac. Z sąsiedniego domu wyszła zaciekawiona kobieta. Teren, na którym stanąłem, należał właśnie do niej. Zgodziła się na naprawę, a nawet, widząc Daniela, wyraziła zaniepokojenie i zaproponowała pomoc. Alina skorzystała z możliwości nabrania wody.

Odkręciłem tylne koło. Wewnętrzna część opony nosiła ślady tarcia. Nie mogłem znaleźć przyczyny. Wszystko funkcjonowało jak należy. W zadumaniu postukiwałem kluczem. W pewnej chwili usłyszałem tępy odgłos. Uderzyłem mocniej. Klucz zagłębił się w ścianie wahacza. Nie miałem wątpliwości; w elemencie zawieszenia koła pojawiła się dziura. Konstrukcja okazała się mocno skorodowana i w związku z tym musiała ulec odkształceniu. Nie do tego jednak stopnia, aby uniemożliwiała dalszą jazdę. Próby odgięcia jej, przy pomocy różnego rodzaju potężnych dźwigni, nie dały żadnego rezultatu.

Drogę powrotną przysłonił cień niepewność. Dojedziemy albo nie? Największe zaniepokojenie wyrażała oczywiście Alina. Musiałem ją pocieszać, aby wytrzymała do końca w "tym gracie". Z kolei Daniel miał niesamowitą frajdę. Przy każdym postoju, kiedy w celu kontroli odkręcałem koło, dumnie paradował ze śrubokrętem, naśladując ruchy wytrawnego mechanika. Przy tej okazji zawsze robił dokładny porządek w skrzynce z narzędziami.

Po przyjeździe największą satysfakcję sprawiło mi, zamieszczone w motoryzacyjnym czasopiśmie, zdjęcie identycznego fiata jadącego na przemysłowym podnośniku podstawionym pod jego tył. Okazało się, że ten model miał właśnie taką fabryczną urodę.

A poza tym, jakie to fajnie, kiedy człowiek przekonuje się, że w "szczęściu", jakie go spotkało, nie jest osamotniony.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

wyrrostek, dodano 19.12.2009 08:04

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.